

# Śmierć powstańca



TADEUSZ BOROWSKI

## Śmierć powstańca

Obok rowu, za wąskim pasem łąki, leżało pole zasadzone burakami. Wychyliwszy się za brunatny nasyp świeżo wyrzuconej, lepkiej gliny, widziało się prawie że osiągalne zielone, mięsiste liście, a pod nimi białe, o różowych żyłkach, końskie buraki, rozparte w mokrej ziemi. Pole ciągnęło się zboczem pod górę i urywało się pod ścianą czarnego lasu, rozmazanego w rzadkiej mgłę. Na skraju lasu stał post<sup>1</sup>. Sterczała z niego jak kopia śmieszna tyczka długiego, podobno duńskiego, karabinu. O kilkadziesiąt metrów na lewo, pod rachitycznymi śliwami, rozsiadł się drugi post i, owinąwszy się szczelnie w lotniczy szary płaszcz, patrzył spod nasuniętej na uszy i czoło furazerki<sup>2</sup> w dolinę jak na dno wanny.

Dalej na zboczu, tam gdzie las schodził w dół kępami młodych wierzb, między niespodziewanie żywotną rzeczką a szosą, przecinającą w poprzek dolinę, jeździły olbrzymie traktory, równając pługami ziemię rwaną przez bagry<sup>3</sup> i podwożoną z dołu przez szeregi wagoników, pchanych przez ludzi. Było tam niebezpiecznie gwaro i tłoczno. Ludzie pchali lory<sup>4</sup>, nosili podkłady i szyny, rwali płatami murawę na zamaskowanie budynków, pod które grunt dopiero równał traktor.

Na dno wanny kopaliśmy rów. Rów, przewidując wykończony w dobrych czasach, kiedy świeciło słońce i pełno było pod drzewami dojrzałych, strząśniętych przez wiatr śliwek, zaczął się podczas deszczów obsypywać, a nawet grozić całkowitym zawaleniem się, jako że do wodociągów ściany kazano nam kopać prosto, a nie — jak to się mówi — na sago<sup>5</sup>, nie przewidziawszy, że Norwegowie, którym polecono w rowach układać rury na wodociąg, wymrą solidarnie co do jednego już po pierwszych dziesięciu kilometrach. Czym prędzej więc zabrano nas do noszenia szyn i wyciągania poplątanych prętów stalowych, leżących, jak Bóg zdarzył, kupą na dworcu, i zagnano na dno wanny poprawiać rów, który ciągnął się nieprzyzwoicie blisko pola buraczanego.

— Pomyślałbyś, taki rów że niby nic nie znaczy — rzekłem do Romka, byłego dywersanta spod Radomia<sup>6</sup>, od dwóch lat odrabiającego w obozach Niemcom to, co im w Polsce napsuł. Pracowaliśmy na spółkę od chwili założenia tego parszywego obozu na skraju małej łączki pod jednym z wirtenberskich<sup>7</sup> wzgórz i doszliśmy w kopaniu rowów do niejkiej wprawy. On działał kilofem miękka ziemię na kaszkę, a ja wyrzucałem ją końcem łopaty na grzbiet nasypu. Kiedy on się kiwał, przyczepiony leniwie do kilofa, opierałem się o wilgotną, popękaną ścianę rowu lub siadałem na umiejętnie podłożonej łopacie. Kiedy ja się kiwałem, on przejmował moją funkcję podpierania rowu. Z daleka wyglądało to tak, jakby w rowie był jeden człowiek, który pracuje wolno, ale za to gorliwie i bez odpoczynku.

— A bo co, że rów? — podtrzymał rozmowę Romek, kiwnąwszy się bez zapału na kilofie. Umiejętność prowadzenia rozmowy i przewlekania jej przez cały dzień była prawie tak samo ważna jak jedzenie. — Osypał się i tyle. Jak go poprawimy, to pójdziemy dalej — mówił, przedzielając rytmicznie słowa kłapnięciami kilofa. — Aby nie do noszenia szyn

<sup>1</sup>post — w gwarze obozowej: esesman, pilnujący więźniów przy pracy lub pełniący wartę na wieży strażniczej. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>furazerka — miękka, podłużna czapka wojskowa bez daszka. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>bagier — pogłębiarka. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>lora — odkryty wagon towarowy. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>na sago — na ukos. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Radom — miasto na prawach powiatu w centralno-wschodniej Polsce. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Wirtembergia — kraina historyczna w pld.-zach. Niemczech, wchodzi w skład kraju związkowego Badenia-Wirtembergia. [przypis edytorski]

Las, Praca, Żołnierz

Praca

albo podkładów jak ci tam od powstania. Przy łopacie i kilofie ujdzie jeszcze wytrzymać. Ale jak chcesz coś powiedzieć, to mów od razu, a nie tak, na okrąg.

Popatrzył po horyzoncie. Miał niebieskie, jakby wypłowiałe, oczy i dobroduszną, bardzo przychudzoną twarz o silnie zarysowanych kościach policzkowych.

— Nawet słońca nie widać — zauważył zmartwiony. — Jak myślisz, będzie deszcz?

Skulił się pod ścianą we wnęce po przezornie oddziabanej glinie. Było tam sucho i jakby cieplej. Nad rowem szedł porywisty jesienny wiatr i pędził górą niespokojne, nabrzmiące deszczem obłoki, ale w dole było zacisznie.

— Frajer deszcz — odparłem lekkomyślnie. — Albo to pierwszyzna dla nas? A popatrz, rów, jakeśmy zaczęli go kopać, to było nas starych równo tysiąc ludzi. Chłop w chłopu, wysiedzianych po nie byle jakich obozach. Co to niejedno już widzieli.

Machnąłem w milczeniu parę razy pustą łopatą i przytrzymałem osypujące się z nasypu grudy.

— Wykopaliśmy rów, trochę słońce poświęciło, trochę deszcz popadał, trochę się rów osypał — i została nas połowa. A z tych tam — wskazałem głową za zakręt rowu, gdzie pracowała reszta naszej grupy, ci tam od powstania — to nie wiem, czy i połowa żyje. Mówili, że truponosy dostali wczoraj po dwa bochenki chleba, bo wywieźli pięćdziesiąt trupów w skrzyni. A jeden Żyd to się utopił w błocie na środku obozu. Dlategośmy wczoraj tak długo na apelu stali. U nas zupa była już zimna na bloku.

Były dywersant podniósł się z wnąki i pochwycił za kilof.

— Nie dwa, nie dwa bochenki — tylko każdy trupiaryz dostał po pół bochenka i trochę margaryny w nagrodę. A wiesz, tych tam, jak ty mówisz, powstańców, to nie szkoda mi wcale. Ja im nie kazałem tutaj przyjeżdżać. Sami chcieli. Ochotnicy, pod koniec wojny dobrowolnie lager<sup>8</sup> przyjechali budować, kraj uprzemysłowić — dodał zgryźliwie i zakończył przekleństwem.

— Pewnie już cały rów uprzątneśli, bo coś nie słysząc, żeby się kłócili o politykę. Musieli dalej odejść. Starają się od rana jak głupi. Myślą, że majster Batsch da któremu skórek od chleba.

— A jakże, da! Nie bój się, nasz Chorwat dobrze popatrzy, porachuje, a dopiero da ci, jakby to była kielbasa! Ma on swój system, umie podbechtac<sup>9</sup> do pracy, niby nie bije, a skórkami mami. Umie dać szpilę, a ty, głupi, pracuj. Kto chce zdechnąć, niech czeka na skórkę. Ja tam wolę mniej zjeść, a nic nie robić.

— Narobi się taki jeden z drugim za cały bochenek, a zje kawałek skórkę — potwierdziłem skwapliwie. — Chyba pójdę po buraki. Zjadłoby się trochę, no nie? Akurat dobrze, bo majster na wieś poszedł.

— A pewnie, że dygaj. Twoja kolej teraz. Ja wczoraj przyniosłem i przedwczoraj. Ale uważaj na kapę<sup>10</sup>, kręci się tam przy bagrze — ostrzegł Romek. — Przynies ze dwa, może się coś skombinuje. Głupich nie brak. Tylko nie daj komu.

— Gdzież by tam! Stary na pewno przyjdzie. On chleba przecie woli nie dojeść, a zieleniny nawpychać się musi, byle dużo. Czego on nie je! I mlecz, i dziki czosnek, i pietruszkę z łąki. Ja ci mówię, że on wykituje.

Wetknąłem uważnie łopatę w ziemię, żeby, padając, nie ubabrała się w błocie, i chyłkiem polazłem wzdłuż rowu między kałużami z ostatniego deszczu.

Rzecz polegała na tym, że trzeba było rwać buraki nie z pola leżącego pod nosem, lecz z drugiego, bliżej traktorów, wrzasku pchających naładowane ziemią wagony ludzi, nerwowego jak ryba na haczyku kapy, no i posta, któremu z nudów nadarza się czasem kogoś postrzelić. Za rwanie buraków groziły niedwuznaczne sankcje, cóż bo winni są spokojni wieśniacy z Wirtembergii, że zjechała na ich ziemię niespodzianie banda więźniów i rozłożyła się małymi lagerkami od Stuttgartu<sup>11</sup> aż do Balingen<sup>12</sup>, żeby z kamienia robić olej? Już i tak wycierpieli dosyć, poryto im paskudnie łąki, zajęto pastwiska pod urzędzenia

<sup>8</sup>lager — w gwarze obozowej: niemiecki obóz koncentracyjny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>podbechtac (pot.) — podrażnić dumę, ambicję. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>kapo — w gwarze obozowej: więzień, pełniący funkcję dozorcę pozostałych więźniów. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Stuttgart — niemieckie miasto na prawach powiatu, stolica i największe miasto kraju związkowego Badenia-Wirtembergia. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Balingen — miasto powiatowe w Niemczech, w kraju związkowym Badenia-Wirtembergia. [przypis edytorski]

Powstaniec, Żyd

Jedzenie, Powstaniec,  
Kondycja ludzka

polowych fabryk, a żołnierze i majstrowie z Armii Pracy<sup>13</sup> Todta<sup>14</sup> grasują z upodobaniem po ogrodach i sadach, a jeszcze więcej po narzeczonych nieobecnych autochtonów, przebywających *zur Zeit*<sup>15</sup> na froncie.

Za zakrętem rowu, w pewnym oddaleniu od nas, pracowała grupa starych panów z powstania warszawskiego, ubrana jednolicie, aczkolwiek z pewnymi indywidualnymi odchyleniami, w pasiaki. Jeden wpuścił marynarkę w spodnie, innemu wystawała spod marynarki torba cementowa, świetna ochrona od deszczu i wiatru, inny jeszcze posłużył się papą, którą nałożył na siebie, wyciąwszy otwory na głowę i ręce.

— Panowie, przepuście mnie, szczęść wam Boże w pracy — rzekłem układowie. — A wy, powstaniec, moglibyście zdjąć tę papę z siebie. Nie widzieliście wczoraj, jak esesman Żyda zatłukł za słomę, co ją znalazł u niego?

— A czy ja jestem Żyd? Żydów to tam mogą tłuc, a nie Aryjczyków. Zresztą martw się pan o siebie. Ja też, jak bym miał trzy koszule, to byłbym taki mądry i chodził bez papy.

— Panie, pan idzie po buraki? — zapytał mnie ten od utypanych, niegdyś eleganckich, trzewików.

— No? A jak po buraki, to co?

— Przyniósłby pan jednego dla nas.

— Burak szkodzi na żołądek, proszę pana. Dostanie pan *durchfallu*<sup>16</sup> i wykituje pan w *try miga*. Nie lepiej to przeżyć?

— Kiedy się, proszę pana, jeść chce. A jak człowiek głodny, to mu się nie bardzo chce żyć — rzekł rozsądnie stary.

Przyjrzałem się dokładnie staremu muzułmanowi<sup>17</sup>. Marynarkę przepasał grubym, sztukowanym sznurem i wypchał się grubo słomą, która wystawała spod kusego kołnierza, postawionego sztorcem, jakby ten kawałek nasiąkłego wilgocią płótna z pokrzywy mógł go ogrzać. Nie wpadło mu natomiast na myśl wpuścić spodnie w owe eleganckie niegdyś trzewiki, jeszcze warszawskie. Były one grubo oblepione błotem, dawnym, zeschniętym i gęstą mazią nowo nabytej gliny.

— Ej, stary, stary — rzekłem z pogardą — szanować się nie umiecie. Trzeba się trochę ruszyć koło siebie, trochę się ochędożyć<sup>18</sup>, przecie obóz to nie pensjonat, gdzie wam wszystko podadzą, to nie u mamy w domu. Jak się otrzecie z błota i poruszacie się *niemnożko*<sup>19</sup>, to wam od razu więcej zdrowia przybędzie, niż gdybyście pajdkę chleba zjedli. A jak będziecie tylko buraki jeść i jeszcze co dzień papierosa kupować za pół miski zupy, to myślicie, że co? Że wytrzymacie? Wwałą w skrzynię i wywiozą, i tyle będzie z was. Już i tak wyglądacie jak półtora nieszczęścia.

— Jakbyś pan zjadł tylko litr zupki na wodzie i pajdkę chleba, to byś też tak wyglądał jak my — przerwał potok mej wymowy ten w nakryciu z papy.

— Albo ja więcej jem od was czy co? — oburzyłem się szczerze. — Tylko nie jestem zwyczajony do frykasów jak wy z Warszawy<sup>20</sup>. I szanować się umiem.

— A kto wczoraj menażkę zupy z naszego bloku wyniósł, jak nie ty? Może powiesz: nieprawda?

— Sprzedałem wczoraj miotłę blokowemu<sup>21</sup> z waszego bloku i za to dał mi miskę zupy. Pracowaliśmy wszyscy koło wikliny. Czy ja wam bronilem robić miotły? Wyście sobie wygodnie w południe leżeli, jak ja witki plotłem.

<sup>13</sup>*Armia Pracy* a. *Organizacja Todt* — stworzona przez Fritza Todta paramilitarna organizacja, która w latach 1938–1945 zajmowała się budownictwem obiektów wojskowych (np. Linia Zygryda, Wał Atlantycki); miała własne obozy pracy, zatrudniała także więźniów obozów koncentracyjnych. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Todt, Fritz* (1891–1942) — niemiecki inżynier i hitlerowski działacz państwowy w okresie III Rzeszy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*zur Zeit* (niem.) — obecnie, tymczasem. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*durchfall* a. *durchwal* — w gwarze obozowej: biegunka. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*muzułman* — w gwarze obozowej: osoba skrajnie wycieńczona fizycznie oraz psychicznie głodem i chorobami, pozbawiona podstawowych odruchów życiowych. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*ochędożyć się* (daw.) — doprowadzić się do porządku. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*niemnożko* (z ros.) — niewiele, trochę. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*Warszawa* — stolica i największe miasto Polski. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*blokowy* — w gwarze obozowej: więzień obozu koncentracyjnego, pełniący funkcję nadzorca w bloku. [przypis edytorski]

— Tee te, ja też jestem taki mądry. Albo ode mnie blokowy weźmie? Woli dać zupy za darmo któremuś z was, z Oświęcimia<sup>22</sup>.

— Jak posiedzisz parę latek jak my wszyscy, to i tobie wszędzie dadzą drugą miskę zupy — odpowiadam rozdrażniony i biegnę do buraków, klnąc siebie za niepotrzebną zwłokę.

Jakieś sto metrów dalej rów skręcał ku czarnemu kwadratowi ziemi, tarmoszonej przez traktory i bagry. Tuż przed zakrętem nasyp nad rowem był usunięty, a w ścianie rowu wykopano dwie płytkie dziury, w których stopa znajdowała oparcie jak ułaz. Wsadziwszy nogę w zagłębienie i chwyciwszy się palcami krawędzi rowu, wydzwignąłem się z wysiłkiem ponad rów i, nie zważając, że cała marynarka obłazi mi błotem, popęzłem ostrożnie między buraki. Tutaj, zakryty po trosze buraczanymi liśćmi, poczułem się trochę raźniej. Na oko wybrałem najgrubszą bulwę, bez pośpiechu poobrywałem liście i wyważyłem ją z ziemi. Oglądałem się za rzepą, ale oprócz pękających, białoróżowych buraczanych łbów nic innego nie umiałem dostrzec. Zdobyłem tedy jeszcze jeden burak, wsadziłem oba pod marynarkę i, trzymając w ręku parę liści jako osłonę przed wzrokiem kapy albo posta, począłem wycofywać się do rowu. Wreszcie wsunąłem się między spękane, wilgotne ściany i odetchnąłem z ulgą.

Oczyściłem marynarkę i spodnie wyjętą z kieszeni drewnianą łopatką, oskrobałem bardzo starannie ręce i buty i, przytrzymując buraki pod połami marynarki, szybko podyrdałem do swoich. Byłem trochę podniecony i oddychałem jak zgoniony pies.

— Panie, daj pan jednego, daj pan kawałek — namawiali mnie powstańcy, kiedy przechodziłem koło nich.

— Ludzie, zostawcie mnie w spokoju! — zawołałem prawie że z rozpaczą, przyciskając do brzucha obrzydliwe wilgotne buraczane łby. — A idźcie sobie urwać! Tam rosną buraki dla wszystkich! Co to ja jeden jestem?

— Kiedy panu łatwiej, bo pan jest młody! — rzekł ten od nakrycia z papy.

— To zdychajcie, jak jesteście starzy i boicie się. Jak bym ja się bał, to by już dawno trawa po mnie rosła!

— To się udław, ty sukinsynu! — krzyknął za mną nieprzyjaźnie pan w nakryciu z papy.

Przecisnąłem się do byłego dywersanta. Romek kucnął sobie w rowie, trzymając się rękójści kilofa.

— I tak nikt nie patrzy, to po co się starać? — powiedział bardzo rozumnie.

Wyciągnąłem buraki spod marynarki. Dywersant dziabnął kilofem w dno rowu, wykopął mały dołek, wyjął z zakamarków odzienia rzecz nieocenioną: scyzoryk i obrał starannie buraki, wrzucając łupiny do dolka.

— Rozumiesz, raz poszliśmy robić jednego sołtysa, niedaleko od Radomia — mówił, wycinając z buraków żyłaste, nienadające się na wybredniejsze podniebienie, części. — Jeżyny czy Dzierżyny, jakoś tak się ta wioska nazywała. Obstawiliśmy chałupę na olaboga<sup>23</sup> i Wilk — we wszystkich opowiadaniach Romka Wilk grał pierwsze skrzypce — wlaź przez okno do chałupy, czekamy, aż się załatwi. Ale on nic, tylko mnie woła. Właż, rozumiesz, i ja, rozglądam się, bo trochę ciemno, leży sołtys z babą w łóżku i nie chce wyjść. Chodź na przesłuchanie, mówi Wilk. Ja go nie puszczać, przesłuchajta go w łóżku, powiada baba. A sołtys milczy ze strachu. Wał, mówię, w poduszkę, trudno, czego się nie robi dla Ojczyzny. Wywaliliśmy na spółkę w chłopa, aż pierze pod sufit poleciało. Myślisz, baba w krzyk za nim? Akurat! Takie owakie, powiada, partyzanty jedne, poduszkę i pierzynę mi do cna ino zmarnowali!

— Bujda wszystko — zawyrokowałem, zaklepując łopatką dołek z obierkami. — Ale co ma sołtys do buraków?

— A ma i to bardzo dużo — dywersant podał mi pokrojony na części burak, który natychmiast schowałem do kieszeni — bo w spiżarni u starego tośmy taki — zatoczył ręką nieprawdopodobne koło — wieniec kielbasy zafasowali<sup>24</sup>.

Jedzenie, Powstaniec

<sup>22</sup>Oświęcim — miasto w województwie małopolskim, siedziba władz powiatu oświęcimskiego; w latach 1940–1945 działał tutaj zespół niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>na olaboga (daw.) — niedbale, byle jak, naprędce. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>fasować — wydawać lub pobierać z magazynu żywność. [przypis edytorski]

— A jakiej kielbasy, proszę pana? Bo ja się trochę na wędlinach znam — rzekł niespodziewanie stary w zabłoconych, niegdyś eleganckich, trzewikach. Podszedł do nas po cichu i, oparłszy się na łopacie, z nabożeństwem wysłuchiwał historyjki dywersanta, z nie mniejszym nabożeństwem śledząc krajanie buraków.

— Jakiej kielbasy? Wiadomo, że nie serdelowej. Zwykłej, wiejskiej kielbasy z czosnkiem — odrzekł opryskliwie Romek. — Na pewno lepsza od tych buraków. To sobie możecie wyobrazić!

Podał mi plasterzek buraka i odkroił sobie drugi. Miały nudną, piekącą słodycz sacharyny i rozchodziło się od nich nieprzyjemne zimno po ciele. Dlatego jadło się je ostrożnie i małymi dawkami.

— Panie, daj pan kawałek, nie bądź pan taki.

Człowiek w trzewikach ze starczym uporem tkwił wciąż nad nami.

— Trzeba było urwać sobie — rzekł Romek. — Chcielibyście tylko, żeby ktoś za was tyłka nadstawiał jak w Warszawie, prawda? Sami to się boicie?

— Jakże ja mogłem walczyć w Warszawie, jak mnie zaraz Niemcy wywieźli?

— Idźcie, idźcie, stary, do roboty i starajcie się dalej, to wam majster Batsch może skórek od chleba da — rzekłem drwiąco, a kiedy nie odchodził, nie mogąc oderwać oczu od chrupanych przez nas nonszalancko plasterków, dodałem zniecierpliwiony: — Słuchajcie no, stary, buraki szkodzą na żołądek. Za dużo w nich wody. A wy zjadacie całe główki. Nogi was nie bolą?

— Gdzie tam, żeby bolały, tylko mi trochę opuchły — rzekł z ożywieniem stary, podciągając do góry zabłocone nogawki pasiaka. Z utytlanych w błocie, niegdyś eleganckich, trzewików, z fantastycznie poskręcanych szmat i ścierek wylażyły obrzmiałe, chorobliwie białe, prawie sine łydki.

Pochyliłem się i nacisnąłem palcem skórę. Dywersant gmerał obojętnie kilofem w ziemi. Nie imponowały mu byle jakie opuchnięte nogi.

— Widzicie, stary, palec wlaź w ciało jak w wymieszane ciasto. A wiecie dlaczego? Woda, nic, tylko woda. Jak dojdzie od nóg do serca, to wtedy kaput<sup>25</sup>. Nie można nic pić, nawet kawy. I zieleniny, ma się rozumieć, także nie jeść. A wy buraków chcecie.

Stary krytycznie spojrzął na łydkę, a potem podniósł na mnie oczy bez wyrazu.

— Dam wam kawałek chleba, ale za całego buraka — powiedział bezdźwięcznie i wyciągnął z kieszeni, omotany w brudną szmatę, chleb, tak z pół pajdki rannej, jak błyskawicznie i fachowo ocenilem.

Dywersant oparł się na kilofie, a drugą ręką chwycił się pod bok.

— Widzicie, stary, zawszeście jednakowi. Co dzień z wami to samo. Trzeba było od razu wyciągnąć chleb, a potem opowiadać dyrdymałki. Że też wy od rana umiecie dotrzymać — dodał z mieszaniną pogardy, uznania i zazdrości.

— Ano, jak trzeba. Takim burakiem to człek przynajmniej kiszki napcha. Dajcie prędzej, bo do roboty trza. Gadamy i gadamy, a tam inni za mnie kopią.

— Chleba dajecie za paznokiec, a buraka to chcecie za całą rękę — rzekł dla zasady Romek. — Ale niech tam już będzie, żebyście nie marudzili.

Chwycił chleb, położył go we wnęce, następnie, wyjąwszy z kieszeni kawałki buraka, poskładał je do kupy, aby unaocznic, że kantu nie ma i że rzeczywiście cały, nienadkrojony burak, i wręczył je staremu, który, zebrawszy kawałki buraka w podolek, odszedł w pośpiechu za zakręt rowu, ciągnąc za sobą łopatę.

Wtedy Romek sięgnął do wnęki, wyjął chleb, podzielił go sprawiedliwie na dwie równiutkie części i podał mi jedną. Poczuliśmy obaj żuć, uważnie mieszając chleb ze śliną i polykając bez pośpiechu. Wreszcie Romek wyciągnął z kieszeni dwie przyduszone, zwiędłe śliwki. Z chytrym uśmiechem rzucił mi jedną. Złapałem ją w powietrzu.

— Trzeba mieć, uważasz, cierpliwość i umieć donosić zarcie do czasu. Znalazłem śliwki, jak chodziliśmy po narzędzia rano do budy. Żebym to ja tak chleb umiał dotrzymać... Ale ty byś od razu zjadł.

— Naturalnie, żebym zjadł — odpowiadam zgodnie. Znów bez porozumienia wróciliśmy do dawnego systemu pracy. On kiwał się na kilofie, krusząc resztki grud, upadłych

Powstaniec, Choroba

Interes, Jedzenie

<sup>25</sup>kaput (z niem.) — koniec, szlag trafiał. [przypis edytorski]

z nasypu, a ja podpierałem wnękę, w której wydawało się nieco cieplej niż w gołym rowie, może dlatego, że nad rowem szedł wiatr, a tu było trochę ziemi nad głową niby dach.

— Wiesz, jak w Oświęcimiu dostawałem paczki, to mleko skondensowane od razu wypijałem — mówię w rozmarzeniu. — Nigdy nie umiałem podzielić. A tutaj porcje także od razu zjadam. Widziałeś mnie kiedy, żebym miał chleb przy sobie? Raz dwa zjeść, troszkę kawy popić, ale niedużo, i przestać cały dzień przy łopacie. Grunt to nie narobić się.

— Najlepszy system to nie nosić jedzenia w kieszeni. Co w żołądku, tego ani złodziej nie ukradnie, ani ogień nie spali, ani na podatki nie wezmą. Taki, co dzieli, gmera, mamrze się<sup>26</sup> z jedzeniem — prędko zdechnie. To żydowski system.

— I warszawski — dodałem, myśląc o odbytej tylko co transakcji.

— I warszawski — zgodził się były dywersant.

Wbił kilof w ziemię i oparł się o ścianę rowu. Rów był wąski, ale nieproporcjonalnie głęboki. Wilgotna ziemia pachniała trupim zapachem gnijącej trawy. Z jednej strony rowu wznosił się nasyp, za nasypem szło pole buraków, a dalej traktory, łańcuch wart i las. Z drugiej strony była łąka, na której gdzieś rosyły dzikie śliwy. Śliwy dochodziły aż do wsi, leżącej zupełnie w dole poniżej wanny. Od nas widać było czub kościoła, który wznosił się w środku wsi nad wodospadem wezbranej w jesieni rzeczki, oraz czerwone dachy domów, schodzących coraz niżej. Dalej wspinał się po stoku wzgórza młody świerkowy las. Za lasem leżał nasz mały, niedawno założony obóz, w którym w przeciągu dwu miesięcy umarło trzy tysiące ludzi. Od lasu kładł się biały pas drogi, nikał we wsi i wypływał wraz ze śliwami.

Z daleka, przerzynając na ukos łąkę, schodził z drogi majster, odcinając się od mokrej zieleni trawy jaskrawą barwą munduru Armii Pracy Todta. Był to wielki specjalista od instalacji wodociągowych, noszenia szyn i załadowywania worków z cementem oraz świetny, nawet przez oświęcimiaków niedościgniony, organizator wszelkiego jedzenia po okolicznych wsiach. O swoich ludzi, a miał nas dwudziestu, dbał. Oto zbierał codziennie od swoich kolegów skórki od chleba i rozdawał je tym, którzy najgorliwiej pracowali.

Chwyciłem łopatę do rąk i zacząłem z energią wyrzucać okruszyny ziemi. Były dywersant wziął kilof i, odsunawszy się ode mnie o dobre parę metrów, żeby na kupie nie stać, podniósł kilof wysoko ponad brzegami rowu, pozwalając mu w rowie opadać własnym ciężarem.

— Zaczęłeś coś mówić o rowie przedtem, zdaje się? — zagadnął, gdy milczenie przeciągało się niebezpiecznie. Należało rozmawiać cały dzień, wtedy człowiek tracił poczucie czasu i nie miał okazji do snucia destruktywnych marzeń o jedzeniu. — Pogadajże coś! Jak to było? — i znów machnął kilofem, dbając usilnie, aby błysnąć nim nad rowem.

— Bo to widzisz, tak się gmera, kopie Niemcowi na pożytek, raz na Śląsku<sup>27</sup>, gdzieś pod Beskidami<sup>28</sup>, raz w Wirtembergii, to znów na granicy szwajcarskiej, coraz to któryś z kumplów umrze, to znów nowych przygnają, i tak, bracie, w kółko. I końca nie widać. A jak przyjdzie zima...

— Nie gadaj. Przyłóż ucho do ściany, a posłyszysz, jak ziemia huczy od artylerii. Kują w nią tam na Zachodzie, kują...

— Już od miesiąca tak kują. Przez ten czas u nas wymarło trochę ludzi, nazwoziliśmy wapna, cegły, cementu, szyn, żelaza i czego tam jeszcze, pokopaliśmy rowy, doły, zbudowaliśmy kolejki — i co? Coraz głodniej i zimniej. I coraz częściej pada deszcz. Jeszcze się człowiek jakoś trzymał nadzieją, że wróci, ale teraz — do kogo? Może też gdzieś tak dolki kopią, jak te nasze powstańcy. Ale nawet, gdyby nie, to myślisz, że będziesz umiał żyć? Albo będziesz się bał wiecznie nie wiadomo jakich strachów, albo będziesz grabił oburącz, gdzie się da, bo w co będziesz wierzył? Co tu mówić, ja tam od rana myślę o jedzeniu. I to nie o jakichś tam wspaniałościach, co to się w powieściach czyta. Ale tak do syta chleba i grubo masła na chleb.

Wojna, Jedzenie, Strach,  
Kondycja ludzka

<sup>26</sup> *mamrać* — w gwarze Śląska Cieszyńskiego: gderać, zrzędzić. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *Śląsk* — kraina historyczna w Europie Środkowej, położona na terenie Polski, Czech i Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *Beskidy* — grupa pasm górskich w łańcuchu Karpat. [przypis edytorski]

— Ja tam nie myślę o tym, co będzie — rzekł ostro dywersant — grunt, aby dzisiaj przeżyć. Chcę wrócić do żony, do dziecka, już się dosyć nawojowałem po świecie. Na pewno będzie ci lepiej niż teraz, nie? A może chciałbyś już tak do końca życia — i zaśmiała się urągliwie.

— Machaj, machaj kilofem — rzekłem ostrzegawczo — majster stoi nad rowem, nie widzisz?

Udając, że go nie dostrzegamy, pracowaliśmy gorliwie, zatopieni na niby w rozmowie. Wywalałem pełne, uczciwe łopaty aż na sam czub nasypu, postępując z wysiłku. Majster Batsch powstał chwilę nad nami, założywszy ręce do tyłu, popatrzył jakby z niezmiernej wysokości i poszedł powoli nad rowem, błyszcząc czernią wysokich butów. Brzeg żołnierskiego płaszcza miał ordynarnie zabłocony.

— Kapo, kapo — krzyknął do mnie, stanąwszy nad grupą powstańców — chodź no tutaj! Dlaczego ten człowiek leży na ziemi? Dlaczego on nie pracuje?

Majstrowie nazywali kapami wszystkich, którzy umieli po niemiecku. Śmieszyło to bardzo starych oświecimiaków, a nawet, prawdę powiedziawszy, gorszyło, co kapo bo wiem, to kapo.

Podbiegłem rowem. Za zakrętem na dnie rowu siedział skulony stary, ten od zabłoconych, a niegdyś eleganckich, trzewików, i jęczał, ściskając rękoma brzuch. Majster kucnął nad rowem, troskliwie, ale z daleka, zaglądając więźniowi w twarz.

— Chory? — zapytał.

W rękę trzymał spory pakuneczek, owinięty w gazetę.

Na przeraźliwie bladej twarzy starego powstańca pojawiły się rzadkie krople potu. Oczy miał przymknięte. Powieki drżały mu raz po raz. Musiało mu być gorąco, bo rozpiął kołnierz. Słoma wylazła mu zza pazuchy i sterczała przed twarzą.

— Cóż to, stary, buraki wam, widać, zaszkodziły? — zapytałem ze współczuciem

Jego towarzysz z kilofem, ten od nakrycia z papy, obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem i rzekł niezdarne do majstra Batscha:

— *Krank*<sup>29</sup>. On jest chory, chory — powtórzył z naciskiem w nadziei, że majster zrozumie po polsku. — *Hunger, verstehen*.<sup>30</sup>

— No, tak, to zupełnie jasne — dopowiedziałem pośpiesznie — nazał się buraków i teraz dostał bóleści w brzuchu. Dopiero co przyjechał do obozu, to nie wie, że zielenizna szkodzi. Na żarłoczność i głód trudno poradzić, proszę pana majstra.

— Buraki? Z tamtego pola, co? O, to bardzo niedobrze. *Klauen*<sup>31</sup>, prawda? — Majster Batsch uczynił dłonią międzynarodowy ruch chowania ukradkiem do kieszeni.

— On nie może tego potrafić! — rzekłem z pogardliwym lekceważeniem. — On kupuje co dzień buraki za chleb.

Majster Batsch pokiwał głową w zrozumieniu, przyglądając się smutnie powstańcowi znad rowu jakby z krawędzi innego świata. Towarzysz starego, ten od papy, ruszył się niespokojnie.

— Powiedz mu pan, może tego człowieka do lagru zaniosą, przecież on jest chory, ciężko chory.

— Ciężko chory? — rzekłem ze zdziwieniem. — To pan jeszcze mało rzeczy widział na świecie. Ma czas do wieczora. Co pan, dziecko, nie wiesz pan, że żaden post nie pójdzie teraz stąd? Coś pan, pierwszy dzień na komandzie<sup>32</sup>? I zdejmij pan tę papę, bo jeszcze pana kto urządzi. Mówiłem już raz. Znów później powiecie, że my niedobrzy, że nie ostrzegamy.

I odszedłem do swojej łopaty. Dywersant, korzystając z tego, że majster był zajęty czym innym, kucnął spokojnie we wnęce, opierając się z wprawą na kilofie. Gdy chwyciłem za łopatę, wylazł z wnęki i stanął także w pozycji roboczej.

— Stary, prawda? — zagadnął bez zainteresowania.

Praca

Powstaniec, Choroba,  
Jedzenie, Kradzież

Powstaniec, Powstaniec,  
Choroba

<sup>29</sup>*krank* (niem.) — chory. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Hunger, verstehen?* (niem.) — Głód, rozumieć? [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*klauen* (niem.) — kraść, buchnąć. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*komando* — w gwarze obozowej: w obozie koncentracyjnym grupa więźniów, wykonujących pracę przymusową. [przypis edytorski]



— Nie pociągnie nawet do wieczora — odpowiedziałem. — Już niejedną setkę takich widziałem. Spuchłe nogi, durchfall, a teraz znów się obzał burakami. Czarno widzę przed nim.

— Znów jeden mniej... Ja mu nie kazałem przyjeżdżać. Mogli bronić tej Warszawy, jak już zaczęli, nie?

— Pewnie, że mogli. Przecie, jak oni jechali do Oświęcimia, to ich nikt nie pilnował. Myśleli, że na roboty. Dorwali się teraz do robót jak chłop do wody sodowej.

Ze złości wywaliłem całą grudę ziemi na nasyp, aż ugięła się rękojeść łopaty.

— Co się będziesz martwił za tamtego. Jak kto chce Niemcowi służyć, to dobrze mu tak — rzekł dywersant. — W Oświęcimiu krzyczeli, że oni nie są polityczni, i co trzeci chwalił się, że ma wujka volksdeutscha<sup>33</sup>, tu znów im źle, bo jeść mało dają. Przyjechali sześć tygodni temu i już chcieliby ze trzy miski zupy dostawać!

— Dużoś zjadł dzisiaj, więcej niż porcja? — zapytałem zainteresowany. Jedzenie było tematem w chwilach szczególniejszych wzruszeń.

— Co tam zjadłem — obruszył się były dywersant spod Radomia. — Wczoraj to zjadłem. Z rana porcja chleba i co tam było do chleba?

— Margaryna i ser — odpowiedziałem.

— Margaryna i ser. Przez cały dzień nic. Pod wieczór tośmy sprzedali buraka Żydom. Było pół pajdki na dwóch. A wieczorem jeszcze zupa za twoją miotłę. A potem dostałem jeszcze zupy na kuchni, bo odnosiłem kotły.

— Nie mogłeś przyjść po mnie? — zapytałem z żalem.

— Nie, bo musiałem zjeść w kuchni. A dziś — ciągnął dalej — pajdka rano, margaryna na trzydziestu kostka, potem parę śliwek, potem znów ten chleb i trochę buraka. Żeby tak jeszcze...

Urwał i chwycił za kilof. Nad nami stał milczący majster Batsch. Popatrzył z sympatią na naszą zgodę i umiejętną pracę i rzucił między nas pakuneczek, owinięty w gazetę. Pod naszymi nogami rozsypały się skórki chleba.

— Właśnie o tym myślałem — rzekł energicznie Romek.

I z rozmachem uniósł kilof nad głowę, dbając usilnie, aby błysnąć nim ponad krawędzią rowu, podczas gdy ja skwapliwie pochylałem się ku ziemi.

Jedzenie

<sup>33</sup>volksdeutsch a. folksdojcz — etniczny Niemiec, osoba pochodzenia niemieckiego, zamieszkująca poza granicami Niemiec, nieposiadająca niemieckiego obywatelstwa. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/borowski-pozegnanie-z-maria-smierc-powstanca/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Borowski, *Pożegnanie z Marią*, Wiedza, Warszawa 1948.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Elżbieta Sekuła, Paulina Chormańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.